

TK O TV

Widzowie teatralni i telewizyjni znają Panią przede wszystkim z kreacji aktorskich. A jest Pani przecież nie tylko aktorką. Zajmuje się też Pani pracą pedagogiczną, przez dłuższy czas była Pani także dyrektorem krakowskiego Teatru „Rozmaitości”. Jak udaje się Pani pogodzić to wszystko z aktorstwem? Co jest ważniejsze, bardziej pasjonujące, co dawało lub daje Pani największą radość i satysfakcję?

— Stosunek do tych spraw zmienia się z latami. Tak przynajmniej jest w moim przypadku. A kolejność była następująca: najpierw aktorstwo, potem praca pedagogiczna, następnie reżyseria i wreszcie tzw. dyrektura. Dziś, kiedy te moje życiowe pasje poddaje ocenie z pewnego dystansu, zostawiłabym też taką kolejność, jeżeli chodzi o ważność wymienionych zajęć, o ich hierarchię. Najważniejsze jest dla mnie aktorstwo, następnie praca z młodzieżą w Szkole Teatralnej, a potem reżyseria. Dyrektorem teatru już — na szczęście — nie jestem od kilku lat. Praca dyrektora teatru dała mi niewątpliwie najmniej radości i najmniej satysfakcji. Oczywiście, był czas, kiedy to zajęcie wydawało mi się bardzo interesujące, dające

była zajmować się tym cztery lata. Ciągnąć to dłużej — było nierozsądne. W każdym razie tak to oceniam dzisiaj. W jakimś sensie była to strata czasu.

Strata czasu dla Haliny Gryglaszewskiej — aktorki. A reżyseria? Pani dyplomowym przedstawieniem był „Huragan na «Caine»” Wouka wystawiony w Teatrze Starym w Krakowie.

— Pragnienie reżyserowania tkwiło we mnie od dawna. To zajęcie mnie pociągało, a kiedy zaczęłam je uprawiać, dawało mi wiele przyjemności. Początkowo interesowałam się inscenizacjami estrad poetyckich, współczesnych, czytałam też w realizowaniu spektakli „teatru na wozie”. Potem przyszły reżyserie w Teatrze im. S. Zeromskiego w Kielcach, w „Rozmaitościach” i Teatrze im. Słowackiego w Krakowie. Z reżyserowanych sztuk ważne wydają mi się takie, jak „Ucieczka” Bulhakowa, „Makbet” Szekspira, „Wojna i pokój” Tolstoja w adaptacji Piscatora, „Dwanaście krzeseł” — adaptacja powieści Ilfa i Pietrowa. Także „Mąż i żona” Fredry, „Zakochani” Goldoniego oraz „Strach i nędza III Rzeszy” Brechta.

A obecne Pani zainteresowania reżyserią?

gdy opuszczają Szkołę udani młodzi aktorzy.

Jakie trudności istnieją w pracy pedagogicznej? Można mówić o konflikcie pokoleń?

— Chyba jest on w środowisku naszym nieistotny i często pozorny. Przy pomocy Szekspira lub Słowackiego można się zawsze porozumieć. Można mieć bardzo zbieżne poglądy na miłość, cierpienie, nienawiść — niezależnie od wieku — i różne mogą być formy czy styl teatru. W każdym przypadku proces nauczania jest zmaganiem się z materiałem, pokonywaniem przeszkód, przełamywaniem oporów. Szkoła nie stwarza gotowego aktora. Kandydat na aktora sprawdza się ostatecznie dopiero na scenie.

Czy wybrałaby Pani powtórnie ten zawód? A jeżeli tak — to dlaczego? Co — Pani zdaniem — jest najbardziej istotne i cenne w aktorstwie, co w nim stanowi czynnik tak przyciągający, fascynujący?

— Nie wiem, czy wybrałabym powtórnie tak samo, mając dzisiejsze doświadczenia. Dlaczego mnie ta praca pasjonuje? To trudno wyjaśnić. Jest w teatrze coś takiego, czego się „rozumem”

i przedsiębiorstwo twardą ręką. Nie jest to jednak zło wrodzone. Charakter Wassy ukształtowały warunki, w jakich przyszło jej żyć. Odtwarzając tę postać starałam się obronić ją, udowodnić, że istnieją w niej także cechy pozytywne, które w innych warunkach mogłyby zdecydować o tym, że ta kobieta byłaby bardzo wartościowym człowiekiem, np. cenionym dyrektorem przedsiębiorstwa. Chciałam też pokazać, że Wassa jest kobietą skrzywdzoną przez los, nieszczęśliwą, godną współczucia.

Sądząc po odezwie telewizyjnej publiczności, która zapewniła Pani wówczas pierwsze miejsce w plebiscycie, udało się to Pani w pełni. A Gwinona z dramatu Słowackiego? Otrzymała Pani za tę rolę nagrodę podczas spotkań teatralnych w Kaliszu w 1976 r. Jak Pani próbowała „obronić” tę postać, postać władczyni krwawej i okrutnej, skonstrastowanej z białą i niewinną Lillą Wenedą?

— Okrucieństwo Gwinony to także skomplikowana sprawa. Gwinona nie jest okrutna dla zaspokojenia jakichś zbrodniczych instynktów. Obca w kraju swego męża, wyrwana z rodzinnej Islandii, przetransplantowana niejako z innego świata na nowy grunt, nie czuje się swojsko i bezpiecznie w kraju Lechitów. Jest inna, bardziej skomplikowana psychicznie niż jej prostoduszny mąż i jego wojacy. Ma świadomość swej „inności”: to stwarza w niej poczucie niepewności i zagrożenia. Ponadto jej okrucieństwo jest niejako prowokowane — najpierw przez fascynację harfą, której tajemnicy nie może zgłębić, potem przez element rywalizacji z Lillą Wenedą. Uduśnienie Lilli nie było wcale prostym aktem zemsty, odwetem za zabicie syna. Było to jakby przypadkowe spowodowanie śmierci, zabójstwo popełnione niezauważalnie. Gwinona, oszołomiona wieścią o śmierci syna, nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że zabija. A zresztą i w tej kobiecie jest ciepło, przywiązanie, czułość, tliwość. Ujawnia się to przy okazji wątku syna — Lechona.

Mówiąc o Pani rolach w spektaklach telewizyjnych celowo pominęłam „Eksperyment”. Kreowała Pani w tym monodramie — reżyserowanym przez Ryszarda Smołżewskiego, a przeniesionym do telewizji z Małej Sceny Teatru „Rozmaitości” w Krakowie — kolejno cztery różne postacie kobiet, byłych więźniarek z Ravensbrück. Wydaje mi się, że ten

Po wakacyjnej przerwie wznawiamy na łamach „TK” kolumnę telewizyjną. Podobnie jak w latach ubiegłych będziemy zajmować się zagadnieniami szeroko rozumianej kultury prezentowanej w telewizji — w tym w szczególności Teatrem TV i stroną warsztatową telewizji jako odrębnej dziedziny sztuki, interesować nas będzie również problem społecznego funkcjonowania telewizji i odbioru treści upowszechnianych na małym ekranie.

Będziemy się starali towarzyszyć pracy Klubów Miłośników Teatru TV, zapowiadać ciekawe spektakle, prezentować twórców i zamieszczać krytyczne komentarze do programów. Zależy nam bardzo na umożliwieniu Czytelnikom wypowiedzi o oglądanych pozycjach telewizyjnych i krytycznej ich ocenie — dlatego, jak to było w poprzednich latach, otwieramy łamy kolumny telewizyjnej dla wszystkich widzów. Czekamy na wypowiedzi o programach telewizyjnych, na recenzje teatralne, na uwagi i propozycje. Wznawiamy również tradycyjny już konkurs na najlepszą recenzję miesiąca, w którym przyznawać będziemy nagrody, ufundowane przez ZG TWP, CRS „Samopomoc Chłopska” i naszą redakcję, dla autorów najciekawszych listów o spektaklach telewizyjnych.

Im bardziej skomplikowana wewnętrznie i bogatsza postacią, tym większa satysfakcja w jej ukazywaniu. Skomplikowana — taka, w której można odsonić i ujawnić nieraz bardzo skryte motywy działania, powody. Zwykle taka postać rozwija się i zmienia, jest coraz to inna, w końcowej scenie sztuki różni się nieraz bardzo od tej, jaką była na początku. I to jest także prawda o człowieku. Bo przecież stale się zmieniamy.

Czy to znaczy, że bardziej odpowiadają Pani role bohaterek dramatycznych, tragicznych niż komediowych? Występowała Pani jednak również w rolach kobiet pogodnych, wesołych, że wspomnę spektakl „Każdy kocha Opalę”, prezentowany swego czasu w Teatrze „Rozmaitości” w Krakowie oraz telewizyjną „Wariatkę z Chaillot” sprzed kilku lat. Nie lubi Pani ról komediowych?

— Wprost przeciwnie. Przepadam za nimi. Kiedy byłam początkującą aktorką, marzyłam o tym, aby grywać jedynie role tragiczne. Dziś ogromnie lubię i w życiu, i na scenie postacie pogodne, wesołe (co nie znaczy głupie), pogodzone z życiem, umiejące dostrzec w nim piękno i radość. Wydaje mi się to dość naturalne: człowiek chciałby znaleźć w nich to, czego sam szuka w życiu. Dlatego nie lubię teatru okrucieństwa. Ukazana jest w nim jedna tylko strona ludzkiej natury, ta skrajna, najczarniejsza. Drugą skrajnością w teatrze jest płaska rozrywka.

Dobrze napisana postać komediowa także powinna być złożona, ukazana wielostronnie. Pełne uroku są na przykład postacie dziwaków. Sympatycznych dziwaków. Bez nich świat byłby nudny.

albo ma ich za mało, czuje się zbędny i nie wykorzystany. Najgorszą rzeczą dla nas jest tzw. „leżenie odlogiem”. Wtedy teatr przestaje być instytucją, gdzie się chętnie bywa, wtedy dochodzą do głosu frustracje i depresje. Grać, grać często i dużo — oto marzenie każdego aktora. I oczywiście — grać jak najlepiej, możliwie najdoskonalej, wykorzystując całą swoją zawodową wiedzę, technikę, pasję wewnętrzną.

A film? Ma Pani i w tej dziedzinie pewne doświadczenia i osiągnięcia. Niedawno prasa podała, że zdobyła Pani w Trieście nagrodę za rolę w filmie „Bielszy od śniegu”, według scenariusza Władysława Terleckiego, w reżyserii Wojciecha Marczewskiego.

— I znowu była to rola złożona: kobieta trochę dziwna, bogata wewnętrznie, zmienna w nastrojach, zagadkowa. Materiał znakomity do grania, bardzo ciekawy człowiek.

Czy na zakończenie można zadać Pani kilka pytań dotyczących spraw nie związanych z teatrem? Gdzie lubi Pani wyjeżdżać na urlop? Nad morze czy w góry?

— I tu i tu, tam gdzie jest las, woda, spokój, mało ludzi, cicho. A najchętniej z plecakiem.

A podróże zagraniczne? Który kraj zrobił na Pani największe wrażenie, dostarczył najbogatszych przeżyć i wrażeń?

— Grecja i Hiszpania — cudowna, z tym co zostawili Arabowie, z kolorowym El Greca, Goyi i porywającym flamenco. Przez te kraje też prowadził mnie teatr — w Grecji: antyk, w Hiszpanii — Lope de Vega, Calderon, wiatraki

Nie lubię teatru okrucieństwa

Rozmowa

z HALINĄ GRYGLASZEWSKĄ.



Rozmowa

z HALINĄ GRYGLASZEWSKĄ



wielkie możliwości i perspektywy działania. Wtedy wydawało mi się, że jako kierownik artystyczny teatru potrafię wiele zdziałać, podjąć i zrealizować mnóstwo inicjatyw, zreorganizować i udoskonalić działalność placówki, której kierownictwo mi powierzono.

W czasie gdy kierowała Pani krakowskim Teatrem „Rozmaitości”, były w nim podejmowane ciekawe inicjatywy. Zorganizowana została scena młodych — tzw. „Proscenium”, uruchomiono Małą Scenę, która działała z powodzeniem kilka lat. Była akcja „Baszta”. Nie zalicza Pani chyba tych działań do przedsięwzięć nieudanych?

— Nie. Ale pełne i długotrwałe powodzenie takich akcji wymagałoby zaangażowania i jednomyślności całego zespołu. Nie aktor-skiego, bo ten lubi tego rodzaju pracę, ale administracyjnego. Niełatwo jest znaleźć grupę ludzi, którzy pragną tego samego i potrafią wytrwale do tego dążyć. Pamiętam taki ładny zamysł, który nazwaliśmy roboczo „teatr pod namiotem”; nie udało się go jednak zrealizować. Z kolei akcja „Baszta” miała być cyklem widowisk realizowanych w starych zameczkach, w naturalnej scenerii architektury lub pleneru — w zasadzie skończyło się na wystawieniu „Barbary Radziwiłłówny” Felińskiego. Graliśmy ją w ruinach zamkowych w kilku miejscowościach, między innymi w Wiśniczu, a także w plenerach. Były to bardzo piękne przeżycia dla nas, ludzi teatru i dla widzów. W telewizyjnych przenosinach spektaklu „Barbary Radziwiłłówny” miejscem akcji był Wawel.

Kierowanie teatrem jest zajęciem pochłaniającym mnóstwo czasu. Czy nie odbywało się to kosztem aktorstwa?

— Oczywiście. Ale w pierwszych latach uważałam „dyrektorowanie” za zajęcie niezwykle ważne, co najmniej tak ważne jak grę. Wtedy też suma satysfakcji i rozczarowań jeszcze się równoważyła: praca ta dostarczała mi tyleż przyjemności, co przykrości. Z czasem proporcje się zmieniały coraz bardziej na niekorzyść. Myślę, że powinnam

— Wiąza się raczej z pracą w radiu oraz ze spektaklami warsztatowymi w Szkole Teatralnej. A były niektóre bardzo interesujące: jak znowu „Ucieczka” Bułhakowa, muzyczny „Zielony Gil” Tirso de Moliny z Elżbietą Karkoszką, Szekspir z Teresą Budzisz-Krzyżanowską, Anną Seniuk i Janem Nowickim, „Księżniczka na opak wywrócona” Pirandella z Grażyną Barszczewską i ostatnio pokazywany w telewizji — „Młyn” Lope de Vegi.

Jest Pani od wielu lat wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie. Co w tej pracy najbardziej Pani pociąga?

— Jest coś niezwykle interesującego i cennego w ustawicznym dążeniu, aby wydobyć i rozwinąć możliwości młodych ludzi, aby rozbudzić ich psychikę i wyobraźnię, a jednocześnie obserwować ich sposoby dochodzenia do pokazywania człowieka na scenie. Talentu nikogo nauczyć nie można, ale można pomóc w ujawnieniu go i rozwinięciu, w udoskonaleniu środków, w wytworzeniu atmosfery pewnego rozdrażnienia artystycznego, napięcia psychicznego, które sprzyja procesowi wewnętrznego otwierania się. Bardzo wiele zależy od tego, jak się ułoży kontakt z grupą. Najciekawiej jest zacząć pracę od pierwszego roku i prowadzić grupę aż do dyplomu. Wtedy łatwiej porozumieć się, używać podobnego języka artystycznego, nawiązać przyjaźnie. Pamiętam namiętne spory o to, co to jest teatr, co to jest aktor ze Zbyszkiem Cybulskim, Kobielą, Dobrzańskim, Bilewskim — byli oni uczniami pierwszego roku, który prowadziłam. W procesie nauczania ma się do czynienia z różnymi osobowościami, szuka się ustawicznie sposobów i dróg dotarcia do złożonych pokładów ludzkiej psychiki. To bardzo skomplikowane zadanie, wymagające delikatności, precyzji, różnorodnych, często całkiem odmiennych metod postępowania. Nie zawsze te zabiegi uwiecznione zostają pełnym powodzeniem. Bywa, że trzeba długo i cierpliwie czekać na rezultaty podejmowanych starań. Czasem te rezultaty są bardzo skromne: zdarza się tak, że oczekiwanie jest daremne. Ale cieszy,

nie określi — lub się to spala w tym nieuchwytnym tworzeniu innego człowieka.

Cisza na widowni. Śmiech. Łzy. To są ważniejsze sprawdziany niż oklaski, które mogą być i zdawkowe, i grzecznościowe, i wymuszone. Mówiąc o momentach ciszy, o wyczuwanym wzruszeniu widzów, miałam na myśli to, co w naszym zawodzie jest bardzo specyficzne i cenne: poczucie zespolenia, doskonałego kontaktu, porozumienia z publicznością i panowania nad nią. Jest to piękne przeżycie, dostępne bardzo nielicznym zawodom.

Telewidzowie zapamiętali Panią z pewnością z wielu znakomych kreacji aktorskich, prezentowanych na małym ekranie. Czy dostrzega Pani jakiś rys wspólny w tych wszystkich bohaterach? Wymieńmy je dla przypomnienia: Wolfowa w „Futrze bobrowym” Hauptmanna w reżyserii Józefa Słotwińskiego, Wassa Żeleznowa w dramacie Gorkiego w reżyserii Ireny Wollen, Pani Vigneron w „Krukach” Becque’a w reżyserii J. Słotwińskiego, Aurelia, tytułowa postać w sztuce „Wariatka z Chaillot” Giraudoux w reżyserii Krystyny Skuszanek, pani Peters w dramacie Hauptmanna „Przed zachodem słońca” również w reżyserii Józefa Słotwińskiego. W dwuodcinkowym spektaklu Teatru Sensacji pt. „Wszyscy mówią prawdę” według F. Noyes Harta, w reżyserii Ireny Wollen wystąpiła Pani w roli Margaret Ives, kobiety, która zabiła, chcąc ocalić małżeństwo i zagrożoną rozbięciem rodzinę. Oglądaliśmy Panią jako Gwinonę w „Lilli Wenedzie” Słowackiego, w reżyserii Krystyny Skuszanek, a wkrótce będziemy mieli okazję zobaczyć Panią jako Junonę w sztuce O’Casey’o „Junona i paw”, w reżyserii Tadeusza Lisa.

— Wszystkie te postacie — mimo pozornych podobieństw — są bardzo różne. Owszem, niektóre z nich posiadają wspólny rys, pewnej surowości, twardości wewnętrznej, może nawet okrucieństwa. Wassa Żeleznowa to kobieta bezwzględna, zgorzkniała, chciwa na pieniądze, apodyktyczna, trzymająca dom, rodzinę

Mówiąc o Pani rolach w spektaklach telewizyjnych celowo pominęłam — „Eksperyment”. Kreowała Pani w tym monodramie — reżyserowanym przez Ryszarda Smożewskiego, a przeniesionym do telewizji z Małej Sceny Teatru „Rozmaitości” w Krakowie — kolejno cztery różne postacie kobiet, byłych więźniarek z Ravensbrück. Wydaje mi się, że ten spektakl zajmuje tak różną od innych i tak szczególną pozycję w Pani dorobku artystycznym, że wymaga oddzielnego potraktowania i omówienia.

— To prawda. Był to dla mnie bardzo ważny, osobisty przekaz mojego szacunku dla tych wszystkich, którzy przeżyli obozy. A po drugie — chciałam zwrócić uwagę na to, że w ludzkich sprawach nigdy nie dosyć delikatności, bo kto może wiedzieć, ile odłożyło się w czyjejs psychice z przeżyć przeszłości, z koszmaru wojny, okupacji, obozu koncentracyjnego? Niektóre przeżycia powodują trwale urazy, kompleksy, pozostawiają bolesne blizny.

W Teatrze TV rozpoczął się już nowy sezon. Jednym ze spektakli, jaki zobaczymy niebawem, będzie „Junona i paw” Seana O’Caseya. Autorem przekładu jest Kazimierz Piotrowski, reżyseruje przedstawienie Tadeusz Lis, muzykę napisał Jan Kanty Pawluśkiewicz. Główną rolę kobiecą kreuje znakomita aktorka krakowska — Halina Gryglaszewska, obok niej występują: Wiktor Sadecki, Anna Dymna, Leszek Piśkorz, Jerzy Fedorowicz, Marian Cebulski, Zofia Więclawówna, Andrzej Balcerzak, Tadeusz Huk, Zofia Kalińska i inni. Na zdjęciu: H. Gryglaszewska (Junona) i Wiktor Sadecki (Jack Boyle) w jednej ze scen spektaklu.



Fot. FELIKS TUSZYŃSKI

to, czego sam szuka w życiu. Dlatego nie lubię teatru okrucieństwa. Ukazana jest w nim jedna tylko strona ludzkiej natury, ta skrajna, najczarniejsza. Drugą skrajnością w teatrze jest płaska rozrywka.

Dobrze napisana postać kome-diowa także powinna być złożona, ukazana wielostronnie. Pełne uroku są na przykład postacie dziwaków. Sympatycznych dziwaków. Bez nich świat byłby nudny. W tych postaciach kryje się zwykle specyficzne ciepło, coś pociągającego, ujmującego. A w teatrze na równi jest potrzebna tragedia jak komedia. Teatr powinien dostarczać przeżyć, emocji. Teatr zimny nigdy nie spełni tego zadania.

Obecnie telewizja uzupełnia to zapotrzebowanie na teatr wśród szerokiej publiczności. Dla aktorów jest to również okazja do artystycznego wywyższenia się poza sceną macierzystą...

— Wydaje mi się, że w Krakowie tych „okazji telewizyjnych” mamy stale za mało. Każdy aktor chciałby grać jak najwięcej. Jeżeli nie ma tych możliwości,

A najchętniej z plecakiem.

A podróże zagraniczne? Który kraj zrobił na Pani największe wrażenie, dostarczył najbogatszych przeżyć i wzruszeń?

— Grecja i Hiszpania — cudowna, z tym co zostawili Arabowie, z kolorytem El Greca, Goya i porywającym flamenco. Przez te kraje też prowadził mnie teatr — w Grecji: antyk, w Hiszpanii — Lope de Vega, Calderon, wiatraki Don Kichota.

Zauważyłam kiedyś, że w czasie przerwy w próbach w studio telewizyjnym, robiła Pani na drutach.

— Często robię na drutach i szydelkuje. Bardzo to lubię, choć nie zawsze udaje mi się obliczyć oczka i muszę (niechętnie) pruć. I nosi Pani zrobione przez siebie rzeczy?

— Czasem tak, ale więcej przyjemności sprawia mi, kiedy nosi je moja bratanica, kiedy widzę, że młoda dziewczyna chętnie ubiera zrobione przeze mnie rzeczy, że ładnie w nich wygląda, że ceni sobie moje „rękodzieło”.

Dziękuję Pani za rozmowę. Rozmawiała: ZOFIA ŚLIWOWA